Nr 38. Kraków 25 grudnia 1869. Rok IV.

KALINA wychodzi co tydzień (w Sobotę) w jednym arkuszu.

Rubryki stałe: Sprawy wychowania. — Ruch społeczny. — Szkice obyczajowe. — Powieści. — Sztuki i literatura. — Życiorysy. — Podróże. — Poezje. — Z przyrody. — Korespondencje. Kronika i Sprawozdania bieżące.

KALINA

Mody, kroje, wzory robót, haftów i t. d. z opisami dołącza się każdego 1go.

Ekspedycja dla miasta Krakowa w księgarni **J. Czecha** hotel drezdeński i **F. Baumgardtena** w głównym rynku.
Listy należy adresować: do Administracyi Kaliny" — w Krakowie.

Nr. 38. — Dwa epizody z życia Heinego, streścił i uwagami krytycznemi objaśnił Lucyan Tomasz Rycharski (dokończenie).— Obłęd niedoli (wiersz) przez Feliksa Szabra, (z drzeworytem). — Niepocieszona wdowa czyli Planeta i Satelici, komedja w 4-ch częściach, prozą z francuzkiego przełożyła Ludwika Sabowska (ciąg dalszy). — Teatr, p. O...le. — Kronika. — Przegląd krytyczny, p. O...le.

Dwa epizody z życia Heinego

streścił i uwagami krytycznemi objaśnił

LUCYAN TOMASZ RYCHARSKI.

(Dokończenie).

Szczególna rzecz, iż dużo zwolenników i przyjaciół poety starało się koniecznie o to, aby Heinego zrobić naczelnikiem stronnictwa nie uznającego żadnéj świętości. Nie zadawalniali się oni tem, że Heine w pismach swych zasady te wyjawiał, chcieli jeszcze, aby i życie swe według tych prawideł urządził. Z pewnym tryumfem przedstawiali oni Henryka Heinego jako szatana przygwożdżonego do „łoża madajowego," lub jako Prometeusza przykutego do skały zmysłowości, i starali się koniecznie dowieść, iż Heine wobec swych mąk i cierpień był zadowolony z teorji swego żywota. Atoli wierzyć w to nie należy; dosyć mamy na to dowodów, iż Heine miał w sobie wewnętrzną istotę, niepodobną wcale do zewnętrznéj; być może, iż chciał ją ukryć, gdyż wstydził się wszelkiego podobieństwa do innych ludzi, wszelako miał on zgryzoty, które nas wszystkich prawie przerażają w pewnych chwilach, kiedy się da uczuć niedostateczność *samego* życia. Nieraz zdawało mu się życie nadaremnem i zupełnie niepotrzebnem, dowcip jego głupstwem, duch jego słabym i bezwładnym, najlepszy czyn jego nikczemnym; były nawet chwile, w których się dziwił, dlaczego się urodził, i gdzie czuł się obcym i samotnym wśród całéj ludzkości. Gonienie za efektem i dążność poświęcenia całego wewnętrznego człowieka dla rozkoszy i świata, niedozwalały mu się okazać takim, jakim był w rzeczy saméj. Szydził najwięcéj ze świata, wypierając go się w swym duchu: ale w głębi swego wnętrza nie pogardzał on ani cnotą, ani religią, czego najlepszym dowodem następujący wiersz jego:

Oben, wo die Sterne glühen,
Müssen uns die Freuden blühen,
Die uns unten sind versagt;
In des Todes kalten Armen
Kann das Leben erst erwarmen,
Und das Licht der Nacht enttagt.

Turyści i podróżujący literaci starali się po większéj części z chorego poety zrobić jakieś *curiosum,* i tą nadzwyczajnością zyskać sobie zasługę. Dlatego też zanadto nawet szafowano jego satyrami, dowcipami i szyderstwy. W ostatnich latach Heinego nie było innego wyobrażenia w Niemczech o poecie „Księgi pieśni" („das Buch der Lieder") jak tylko, że większa połowa jego ducha jest wprost tchnieniem szatana, a on sam, szydzący z Boga i ludzi, jakimś demonem.

Publiczność, któréj wciąż opowiadano o chorym poecie, o jego sławie i talencie, o jego strasznych cierpieniach i niewyczerpanym wśród tych okropnych boleści dowcipie, przyszła wkońcu pomimowolnie do tego przekonania, iż człowiek takiemi nękany bolami musi być djablem, aby szydzić z siebie samego, z ludzi, z całego świata, nawet z Boga.

Co więcéj — dawniejsi jego zwolennicy plamili późniéj pamięć tego męża, i rzucali kałem na tego, u którego stóp ongi niewolniczo pełzali; byli nawet do tego stopnia nikczemni, iż chorobę i okropne boleści poety obwoływali jako sprawiedliwą karę niebios. Henryk Heine jako poeta zyskał sobie taką sławę, jak mało kto z jego współczesnych, czegóż żądać jeszcze, kiedy mu ta sława na zawsze pozostanie?

Z rana ośmnastego lutego 1856 roku litościwy anioł śmierci przystąpił do łoża Heinego, położył rękę na skronie poety i wygasił migocący się płomyk w jego sercu. Henryk Heine umarł nareszcie.

Ciało jego było już dawno prawie ofiarą śmierci, teraz umarł duch jego, który, rzecz dziwna, aż dotąd mieszkał w spróchniałéj obsłonie bez życia. Duch ten podobny do płomienia świecił, dopóki zupełnie nie wygasł. Dlatego też aż do ostatniéj godziny mógł Heine pracować.

Przy łożu jego śmiertelnem nie było kapłana, żadnym zewnętrznym znakiem pozostali nie byli zaspokojeni, iż umierający należy do ich społeczności. Trup poety leżał osamotniony, że tak powiem — nie było ani katafalku, ni ołtarza, ni nabożeństwa; za życia wiedział on dobrze jak będzie umierał:

Keine Messe wird man singen,
Keinen Kadosch wird man sagen;
Nichts gesagt und nichts gesungen
Wird an meinen Sterbetagen.

Po śmierci swéj chciał jeszcze poeta cisnąć szyderstwem na świętość czczoną przez ludzi, jak to za życia czynił. Szyderstwo to jednak było tylko pozorne, było to ostatnia kokieterja, uporna jakaś konsekwencja. Jakkolwiek Henryk Heine nie służył żadnemu kościołowi tego świata, uznawał on atoli wielką świątynię Boga; jakkolwiek nie przyjął błogosławieństwa kapłańskiego, w ostatniéj jednak godzinie starał się o błogosławieństwo wszechmocnego Ojca. Wolnowierca i w słowach swych lub zewnętrznych oznakach ateista, pojednał się z swém wnętrzem, gdyż religia była tam głęboko ukryta. W poddaniu pewném liczył on ostatnie godziny i minuty swego życia, i starał się, aby mu nikt nie przeszkadzał w téj uroczystości, pielęgnowanéj w jego wnętrzu. Owe silne słowa, które wypowiedział: *Dieu me pardonnera*, *c'est son métier* dowodzą, iż przyznawał się do swych grzechów i wierzył w łaskę swego sędziego. Bóg nieraz prędzéj wysłucha milczącą modlitwę duszy, niż żałosne skargi trwożliwego, który rozstając się z życiem w bojaźni swéj gwałtem wmawia w siebie, iż Bóg w niebiesiech musi mu przebaczyć.

Heine nie wachał się nawet uzewnętrznić swego żalu, przeczuwając zbliżającą się śmierć. Poczuwał on się niejako do obowiązku wyznania swych błędów w obec świata. W testamencie swoim, który krótko przed śmiercią napisał, oskarża sam siebie, i w głębokiéj skrusze błaga „jednego i wiecznego Boga“ o przebaczenie za swą bezbożność przeciw „świętym rzeczom,“ za swe literackie wybryki przeciw „moralności“ i „dobrym obyczajom.“ Testament ten godzi zupełnie *poetę z człowiekiem;* ostatnie słowa umierającego przytłumiają swem znaczeniem wszelkie winy i grzechy całego żywota. Testament ten każe niejako zapomnieć o niejednych prawdziwie pożałowania godnych pismach poety, wśród których trzeba umieć odróżnić plewę od pszenicy, truciznę od nektaru.

Generacja nasza musiała skosztować wszystko dobre i złe zmarłego, gdyż pisma jego ogromny wywarły wpływ na nasz czas; dlatego ma ona pierwsze prawo, być mu za to wdzięczną lub oburzoną. Wpływ zaś ów, który Heine na niemiecki naród wywarł, dowodzi, iż był on jednym z najznakomitszych gieniuszów. Literackie prądy przez pewien czas od niego tylko wychodziły; podobne do promieni rozstrzeliwały się do peryferji narodowéj literatury, aż powoli kultura narodowa w inne wpadła koło, z którego Heine późniéj coraz się więcéj oddalał i odosobniał.

Heinizm ten jednak nie bardzo zbawiennie działał na Niemcy, albowiem w części pozbawił i tak już zdenerwowany lud siły jego żywotnéj. Heine umiał z każdéj materji wyciągnąć ducha i tym sposobem materję tę uduchowić. Dlatego też odwrotnie wszystko, nawet najwyższy duch, stały się dlań czystą materją. Według jego przekonania chrześciaństwo znieważa najszlachetniejsze potrzeby; w skutek tego znienawidził chrześciaństwo. — Przyklaskujący mu lud adoptował naturalnie te przekonania; ztąd duchy uśpiły się a serca straciły szlachetniejsze, świętsze tętno, cała siła myśli osłabła, a filozofia idąc za prądem czasu, popadła zupełnie pod Fauerbachem i Brunonem Bauerem w wir ateizmu. Jedném słowem, dzisiejsza ciemna ortodoxja jest bezpośrednio wypływem *Heinizmu.*

Byłoby jednak niesłusznie cały ciężar odpowiedzialności zwalać na Heinego, choć był on jednym z najwięcéj wpływowych ludzi, biorących udział w tym duchowym procesie czasu. Raczéj wiek jego, możnaby prędzéj odpowiedzialnym zrobić. Poniekąd spełnił on posłannictwo, jakiego czas od niego żądał; być może, iż właśnie zadaniem jego gieniuszu było podawanie swym współziomkom całéj zgnilizny ich czasu z szyderczą zaprawą, aby w nich pewien wstręt do niéj obudzić. Atylla słusznie na równą wdzięczność zasługuje jak i Bonifarjusz; barbarzyństwem swém bowiem wywołał on cywilizację. Jest on dobroczyńcą ludzkości, o którym jednak z pewną trwogą wspominamy. Lubimy słońce więcéj niż pochmurne niebo, a jednak nie uczuwalibyśmy dobrodziejstwa słońca, gdyby chmur nie było; złe wyradza z siebie dobre; z nocy wyłania się jutrzenka; Saul był potrzebny, aby Dawida zrobić wielkim. Heine otwierał drogę cnocie, upiększając występek; — był on lekarzem, który rozebrał cały organizm pacjenta, jak zegarmistrz zegarek, aby na nowo pojedyńcze zepsute cząstki złożyć w jedną dobrą całość. Gienjusz należy równie do piekła jak i do nieba; jest on sam dla siebie postrachem i zostaje zawsze w niebezpieczeństwie przed szponami szatana; śmierć dopiero rozstrzyga, czy był zbawicielem, lub też biczem bożym dla ludzkości.

Heinizm był dla Niemiec pod pewnym względem tem, czem *Wolteryzm* dla Francji; Heine był, jak się wyraża Guizot, po Wolterze najdowcipniejszym człowiekiem. Filozof z Ferney opierał się na swéj filozofji, obejmującéj całe uniwersum; było to jego naturą i jego wielkością. Niemiecki poeta zaś miał przeważnie czysto liryczną naturę, z któréj się wygałęził dowcip. Dlatego téż dowcip Woltera jak Bournego drapie pazurami całą ludzkość; dowcip zaś Heinego godzi powiększéj części w pojedyńcze ofiary. Obaj żyli w czasie obłudy i niemoralności, obaj wylali na nią swój dowcip i opanowali wiek swój. Kiedy Wolter umarł, wybuchła straszliwa burza francuzkiéj rewolucji; śmierć Heinego nie wywołała wprawdzie pośrednio rewolucji w Niemczech, gdyż Heine nie był gieniuszem do wykształcenia zupełnie nowéj ludzkości, jakim był Wolter, ale udziałem swym w zrujnowaniu społeczeństwa sprowadził Heine duchowną rewulucję.

Dzisiaj minęła już epoka jego wpływu. Heine sam nie stał tak wysoko, byśmy dziś już nie mogli ocenić całéj doniosłości tego wpływu. Zresztą najlepszym w téj mierze termometrem jest opinia publiczna. W Niemczech w każdym niemal salonie, na stoliku każdéj prawie młodéj panienki leży pięknie oprawna *księga pieśni* („das Buch der Lieder"); atoli rzadko gdzie znajdujemy inne dzieła tego poety; a jeżeli je czytają, dzieje się to po większéj części potajemnie. Są to zakazane słodkie owoce, które się jednak w ukryciu spożywa.

* * *

Wyświadczanie czci zmarłemu było zawsze obowiązkiem; jest to piękne i wzniosłe prawo potomności; zmarłemu poecie, powtarzam, oddajemy tylko sprawiedliwość. Henryk Heine był poetą miłości, w prawdziwem znaczeniu tego wyrazu; był Tibullem i Raoulem de Couci Niemiec; miłość była dla niego niebieskim ogniem, a rozkosz ołtarzem, na którym się ten ogień palił. Śpiewał on, jak świat śpiewa; lecz kwiatami swéj poezji ozdabiał on brzydotę, a złotem swych słów pokrywał nieszlachetne wybryki. Jeśli walczył, to walczył za świat, za rozkosz, za zmysłowość i słabość; dowcip jego był ostrą strzałą, a jego ręka pewną w rzucaniu téj strzały w pierś przeciwnika. Ze strzałą tą pokazywał on się chętnie i chętnie polował, zdobycz jednak swoją ubijał, jakby ukradkowy myśliwy, nie zważając na to, że czynił spustoszenia na polu współziomka lub obywatela.

Trup Heinego pogrzebany był na wapiennym cmentarzu Mont Martre. Ani kapłan, ani śpiew pogrzebowy, ani ceremonje nie towarzyszyły mu z ziemi do ziemi. Sto może osób, po większéj części Niemcy, postępowali za trumną, która unosiła wielkiego niemieckiego poetę we francuzką ziemię. Na czele orszaku pogrzebowego szli: przyjaciele zmarłego, francuzki pisarz Paweł Julia i pan Cohen, główny redaktor dziennika „Pays" szwagier Heinego. Głucho spuszczono trumnę do grobu; — Aleksander Dumas płakał gorąco, Teofil Gauthier, Mignet, Paweł de Saint-Wiktor, Aleksander Weill i grono niemieckich dziennikarzy lub pisarzy stali ponad grobem . . . . .

Nichts gesagt und nichts gesungen . . . .

OBŁĘD NIEDOLI

(z drzeworytem).

Hej! kmotrze, kmoterku, porzućmy kłopoty
Powszednie w domowéj zamieci;
Przy lulce, przy czarce, wśród szczeréj ochoty
Czas trochę swobodniéj uleci.

Gdy starka popłynie i myśli rozwinie,
Zapomnim o życiu żebraczem;
Szczęśliwiéj nam będzie, gdy w trunku obłędzie
Łezkami rozkoszy zapłaczem.

Więc daléj! ochoczo wysączmy flasz parę,
O łzy nam roskoszy dziś trudno;
Gonimy bez przerwy po świecie czczą marę,
A w koło tak smutno i nudno.

Łzy bólu rzecz łatwa, gdy żona i dziatwa,
Co chlebem codziennym żyć muszą
Niedoli westchnieniem, goryczą, zwątpieniem
Ojcowskie nam serce poruszą!

Gdy żebrzesz — usłyszysz: „Precz z nędzną hołotą!...
„Żebractwo jest piętnem hołoty!
„Do pracy!" Gdy zechcesz pracować z ochotą,
Nie dadzą ci nawet roboty.

Ot, chwila niedługa, a flasza już druga
Przy gadce obeszła koleją...
Hej kumie! — nie słucha — legł jakby bez ducha
I we śnie się cieszy nadzieją.

Jam trzeźwy... coś starka nie topi w obłędzie,
Niedola i trunek uśmierzy:
Źle z żoną, źle z dziećmi, i ze mną źle będzie,
Bo syty głodnemu nie wierzy!

Eh kręci w czuprynie!... do serca żar płynie,
Dziewczyno! dobranoc!... nie płacę!...
Precz z życia kłopotem!... zaśniemy... a potem...
A potem?... *Requiescat in pace.*

Feliks Szober.

NIEPOCIESZONA WDOWA

czyli

PLANETA I SATELICI,

komedja w 4-ch częściach, prozą

z francuzkiego przez Méry

przełożyła

Ludwika Sabowska.

(Ciąg dalszy).

SCENA JEDENASTA.

CIŻ SAMI *(prócz Karoliny).*

Gabrjel. Jedynem mojem życzeniem jest zostać kawalerem i patrzeć jak się inni żenią. Już piąte małżeństwo kojarzę we wspaniałych lasach tego departamentu. Moja taktyka jest wyborna: pojedynkuję się z rywalem, lecz mam się na baczności żeby go nie zabić; szczęśliwy, że wyszedł cało, myśli że wszystko skończone; wtedy zmuszam go do żenienia się groźbą nowego pojedynku; on się żeni, jesteśmy na weselu, następnie zostaję mieszkańcem zamku, ro-

bię z niego dom zajezdny, miejsce schadzek myśliwskich. Już mam pięć domów zajezdnych i pięciu przyjaciół ożenionych, począwszy od lasu de Satorgo aż do lasu de Saint-Germain; pan, panie Baralier będziesz szóstym, lecz nie poprzestanę na téj liczbie, gdyż mi potrzeba trzydziestu przyjaciół i trzydziestu stacji łowieckich. Stworzyłem sobie nowy rodzaj życia, jestem sam jeden, niezależny, wpośród was co jesteście niewolnikami waszéj wolności; nie znam ani prawa, ani policji, ani straży narodowéj; potrzeba mi stołu cudzego, domu cudzego, żony cudzéj. Jesteście wszyscy barbarzyńcy, ja jeden cywilizowany.

Baralier. Wybornie! wybornie!

Hipolit. Trzeba ci wiedzieć, że wczoraj wieczór oświadczyłem się mojéj kuzynce pani de Saint-Marc.

Baralier. Komu?

Hipolit. Jéj saméj, do licha!.... nazwała mnie szalonym, dzieckiem, wysłała mnie na polowanie. Domyśliłem się zaraz co się święci, drżałem tylko ażebym nie był wygnanym na całe życie z tego zamku przez jakiego nieznanego mi męża, niegrzecznego, zazdrosnego i zagniewanego na wszystkich kuzynów; a ponieważ to ten dobry Baralier, będziemy więc mogli zostać tutaj nadal, jako weseli myśliwi, dobrzy przyjaciele, przyjemni współbiesiadnicy; przyszłość wspaniała! życie epikurejskie! stół otwarty! Paryż na wsi! wiek złoty! i koléj żelazna!...

Baralier. Brawo! mój drogi kuzynie! widzisz że i ja jestem młodym jak ty.

Gabrjel. Nawet młodszym.

Hipolit. Mógłbyś być moim synem.

Gabrjel. Teraz mój drogi Baralier, nie trać ani jednéj chwili: biegnij do twego notarjusza, porozsyłaj zaproszenia, urządź swoje interesa kawalerskie i żeń się jutro, jeżeli możesz; wdowy są kapryśne: kto traci czas, traci wdowę, mówi przysłowie normandzkie.

Odźwierny *(oznajmiając)*. Pan Leon d'Orvigny.

Hipolit. Ah! oto gość co nam wcale nie w porę przybywa.

Gabrjel. To ten młody człowiek ponury?...

Hipolit. Ten sam, z postawą tragiczną.

Gabrjel. Może to mąż Melpomeny; wyrzucę go za drzwi i poproszę zarazem żeby zapomniał jaka droga tutaj prowadzi.

Baralier. Panowie, proszę was bardzo, nie przestraszajmy więcéj mojéj pięknéj narzeczonéj. Bądźmy rozsądni jak trzydziesto-letni mężczyzni; wyjdźmy cichaczem, to najlepszy sposób odprawienia go.

Hipolit. Wyjdźmy, jak w komedjo-operze nucąc chórem piosnkę ponurą.

Wszyscy *(śpiewają wielkim głosem)*.

Dalej, daléj,
Trzeba w ciszy
Wyjść z téj sali,
Niech nas nikt nie słyszy!

Ścigają nas,
Więc póki czas,
Dalej, daléj,
Trzeba w ciszy
Wyjść z téj sali,
Niech nas nikt nie słyszy!

SCENA DWUNASTA.

LEON D'ORVIGNY.

Oto szczególny sposób wychodzenia z pokoju; tylko w teatrze można widzieć coś podobnego.

(Baralier, Hipolit i Gabrjel zaczynają znów śpiew i wychodzą drzwiami w głębi. Zasłona spada).

CZĘŚĆ CZWARTA.

Ta sama dekoracja.

SCENA PIERWSZA.

LEON D'ORVIGNY, PANI DE SAINT-MARC.

Leon d'Orvigny. Widzisz pani że dotrzymuję słowa.

Pani de Saint-Marc. Nie wątpiłam o tém.

Leon d'Orvigny. Wybacz pani moje porównanie trywialne: zdaje mi się że należę do téj klasy ułaskawionych przestępców, którzy muszą się przedstawiać codziennie u komisarza policji na dowód że się nie ukryli przed nadzorem, na jaki są skazani.

Pani de Saint-Marc. Pańskie porównanie jest niesprawiedliwe; przyrzekłeś pan żyć, i słowo pańskie zwalnia pana od wszelkich zobowiązań. Będę szczęśliwą bardzo z pańskich odwiedzin raz na tydzień. Zostawać będziemy tym sposobem w najlepszych stosunkach sąsiedzkich. To będzie dostatecznem.

Leon d'Orvigny. Pani sama ustanowiłaś prawo, i łamiesz je nazajutrz po jego ogłoszeniu.

Pani de Saint-Marc. Prawa stanowią się na to, żeby je łamać, zapytaj się pan wszystkich prawodawców, którzy je gwałcą sami od pięćdziesięciu lat.

Leon d'Orvigny. Wczorajsze współczucie pani zamienia się w ironją dzisiaj. Bardzo dobrze, postaram się pozyskać je na nowo *(chce wyjść)*.

Pani de Saint-Marc. Posłuchaj mnie pan...

Leon d'Orvigny. Słucham panią raz ostatni.

Pani de Saint-Marc. Znasz pan ludzi?

Leon d'Orvigny. Nie znam tego czem pogardzam.

Pani de Saint-Marc. Ale kobieta nie pogardza niczém...

Leon d'Orvigny. Wiem co pani chcesz powiedzieć. Masz pani po prawéj ręce oszczerstwo, po lewéj złe języki, dwa przykre sąsiedztwa, zgadzam się na to; lecz ponieważ ludzie nie robią żadnych ustępstw dla pa-

ni, nie rozumiem dla czego pani masz robić ustępstwa dla nich!

Pani de Saint-Marc. Dziś rano, panie, dziś rano, artykułem niegodnym usiłowano narazić mój honor w gazecie! W téj chwili moje imię służy za pastwę żarłoczności oszczerstwa, za rozrywkę nudom arystokratycznym we wszystkich zamkach sąsiednich! I pan wymagasz żeby kobieta wyniosła się ponad to wszystko? Nie, panie, nie! świat jest naszym sędzią, sędzią niesprawiedliwym często, sędzią, który kładzie ołów oszczerstwa na jedną szalę, a na drugiéj kwiat lekki naszéj dobréj sławy, i który nas podług takiéj wagi potępia, jest to niezaprzeczone; ale trzeba poddać się wyrokowi jak gdyby on był słuszny, bo kobiety w ten sposób skazane, nie mają drogi ani do apelacji, ani do sądu kasacyjnego.

Leon d'Orvigny. Ah! świat jest takim; jak to dobrze żem się nie starał go poznać. Przebaczysz mi pani, jeżeli przekroczę prawa i zwyczaje świata, który mi jest obcym, i zaproponuję pani szczerze coś co zmusi do milczenia oszczerstwo i złe języki.

Pani de Saint-Marc. Proponuj pan, a zobaczymy tę cudowną receptę, mogącą zamknąć usta wiecznie gadatliwe.

Leon d'Orvigny. Recepta jest bardzo prosta; można ją przepisać w czterech słowach.

Pani de Saint-Marc. Przepisz ją pan w czterech słowach.

Leon d'Orvigny. Idź pani za mąż.

Pani de Saint-Marc. Odgadywałam te cztery słowa.

Leon d'Orvigny. Cóż pani sądzisz o nich?

Pani de Saint-Marc. Są przedmową do długiego życia.



OBŁĘD NIEDOLI.

Leon d'Orvigny. Boisz się pani bardzo przedmów?

Pani de Saint-Marc. Saméj książki się boję.

Leon d'Orvigny. Lecz gdy się ją czyta we dwoje...

Pani de Saint-Marc. To jest o jednego czytelnika za wiele.

Leon d'Orvigny. Tylko wtenczas jeśli jest źle wybranym.

Pani de Saint-Marc. Potrzeba zatem szczęścia do wyboru, a ja go nie mam do gier hazardownych.

Leon d'Orvigny. Pani, długo rozmyślałem od chwili szalonego mego przedsiewzięcia. Zaczynając drugie życie, chciałem zbadać pierwsze; i odkryłem, że nasz zabójca na tym świecie nazywa się samotność. To mnie doprowadziło do uznania małżeństwa za

hygienę moralną. Natura stawia zawsze lekarstwo obok choroby: małżeństwo obok celibatu. Wiem, że hymen był zawsze wyszydzanym, począwszy od starożytnych, którzy ubierali tego bożka w tunikę żółtą, aż do współczesnych, którzy go wyśmiewają w komedjach i piosnkach. Musi jednak małżeństwo być czemś doskonałem, kiedy się oparło wszystkim swoim nieprzyjaciołom od czasu Adama. Tylko niewdzięczni synowie, nieuleczeni starzy kawalerowie i podejrzani mężowie występują przeciw małżeństwu. Małżeństwo jest rozkoszą rodzinną, pogodą domowego zacisza, wspólnem życiem kilku dusz, i szczęściem, które nie pociąga za sobą wyrzutów. Dlatego obrałem to lekarstwo, ażeby się wyleczyć z mojéj samotności. Gdy brak lekarstwa, chory umrzeć musi. Pani jesteś mojém życiem i żyć będę dla ciebie, jeżeli laska twoja wyciągnie do mnie rękę.

PANI DE SAINT-MARC. Ah! mówisz pan poważnie, dobrze; wolę powagę niż pustotę. Spojrzyj pan na kolor téj wstążki. *(Pokazuje mu wstążkę zawiązaną przy staniku).*

LEON D'ORVIGNY. Jest to jedyna i ostatnia oznaka żałoby.

PANI DE SAINT-MARC. Moja żałoba prawie skończyła się, noszę jednak tę wstążkę, gdyż będąc wolną wobec prawa i świata, w moich oczach nie będę wolną nigdy.

LEON D'ORVIGNY. Nigdy!... to słowo piekielne; trzeba więc wchodząc tutaj zostawiać nadzieję przed progiem?

PANI DE SAINT-MARC. Pan zaś według danego słowa, powinieneś wychodząc zostawić tu rozpacz. *(Kłania się i chce wyjść).*

LEON D'ORVIGNY. Jeszcze jedno słowo, jedyne, pani, zaklinam panią, zostań chwilę.

PANI DE SAINT-MARC. Ostatnie słowo prowadzi zawsze zbyt daleko; a, dla oszczerstwa które mnie nie traci z oczu, jużeśmy zbyt długo rozmawiali. *(Wychodzi).*

SCENA DRUGA.

LEON d'ORVIGNY (*sam, rzucając się na krzesło*).

Stało się!... Spostrzegłem nad brzegiem przepaści gałązkę zbawczą; czepiałem się jéj wszystkiemi siłami méj duszy... Ten punkt oparcia wymyka mi się, trzeba upaść! *(Siada na kanapie na lewo).*

SCENA TRZECIA.

LEON d'ORVIGNY, BARALIER (*wchodzi z bukietem w ręce, nie widząc Leona*).

BARALIER. Nie mogę sobie przypomnieć tego czterowiersza pana Vigée, z *Kalendarza Muz* na rok 1817; Zdaje mi się że tak się zaczyna:

Zechciéj te kwiaty przyjąć, pani...

Tak jest, to pierwszy wiersz... musi być jeszcze trzy, inaczéj nie byłoby czterowiersza...

Zechciéj te kwiaty przyjąć, pani,
Kilkoma łaski twojéj słowy...
To różnobarwni są poddani
Co hołd składają swéj królowéj.

Otóż przypomniałem sobie. Podpiszę się pod temi wierszami i będą moje. Piszmy. *(Zbliża się do kanapy i spostrzega Leona).* Jeszcze ten pan.... Przepraszam, ja panu przeszkadzam?

LEON D'ORVIGNY. Tak jest.

BARALIER. Ah!

LEON D'ORVIGNY. Co pan tu robisz?

BARALIER *(na stronie).* To odsadzony kochanek; pobawmy się... Pan mnie się pytasz co ja tu robię?... Chcę pana zaprosić na mój ślub.

LEON D'ORVIGNY. Mnie?

BARALIER. Widzę tu pana tylko... Czy pan nie jesteś sąsiadem i przyjacielem domu?

LEON D'ORVIGNY. Więc cóż z tego?

BARALIER. Cóż z tego, podpiszesz się pan na intercyzie rano, a wieczór będziesz pan tańczył...

LEON D'ORVIGNY. Nie tańczę nigdy, panie.

BARALIER. Oh! sądzę że na weselu pani de Saint-Marc będziesz pan tańczył!

LEON D'ORVIGNY *(zrywając się).* Pani de Saint-Marc idzie za mąż?...

BARALIER. Ah! pan nie wiesz o tem?... Żartujesz pan... w okolicy tylko o tem mówią.

LEON D'ORVIGNY. Któż o tem mówi?

BARALIER. Wszyscy, prócz pana, jak się zdaje; tylko co napisaliśmy i wrzuciliśmy na pocztę z moimi sąsiadami, trzydzieści listów do mojéj familji i przyjaciół. Daję bal jutro... Patrz pan, oto takie zaproszenia porozsyłałem: *Zapraszam na mój ślub i bal.* Podpisano: *Baralier...* Nie podpisałem drugiego imienia, dla zrobienia niespodzianki zaproszonym.

LEON D'ORVIGNY. I jakież drugie imię?

BARALIER. Już od godziny wysilam się żeby powiedzieć je panu, głuchy byłby usłyszał i zrozumiał!

LEON D'ORVIGNY. Jakież drugie imię?

BARALIER. Pani de Saint-Marc, po setny raz powtarzam panu.

LEON D'ORVIGNY. I pan ją zaślubiasz?

BARALIER. Ah! to już za wiele! zaślubiam ją jutro; trzeba się śpieszyć z wdowami.

LEON D'ORVIGNY. Niepodobna! to są żarty, których nie ścierpię!

(Wchodzi Hipolit i Gabrjel).

(Dokończenie nastąpi).

Teatr. — („Szkoła obmowy“ komedja p. *R. Sheridana.* — „W gabinecie Jego Excelencji“ komedja z niemieckiego. — „Przysługa“ i „Z małéj chmury wielki deszcz“ komedyjki z francuzkiego“).

Na drugim szeregu wyborowych sztuk które w ostatnich czasach dawano, dość zimno została przyjętą mierna komedja *Sheridana* przerobiona dla polskiéj sceny i polskich ubiorów p. *W. Bogusławskiego.* Mieliśmy tam znowu jeden typ świętoszka, paru rubasznych kontuszowiczów, starego męża wodzonego przez młodą żonę na pasku, kilka złośliwych, obmawiających plotkarek, hulaszczego huzara i sentymentalną kochankę. Życia na scenie nie brakło, ani też drastycznych ustępów mianowicie w dwóch ostatnich aktach, mimo to jednak, mimo stosunkowo dobréj gry artystów, sztuka ta nie podobała się dlatego, że jest starą oklepaną pozytywką, zużytą w treści i bez najmniejszéj elegancji w formie.

Pamięć na przedstawienia najlepszych francuzkich komedji i nadzieja ujrzenia nowych oryginalnych utworów młodych naszych autorów, nie pociągnie publiczności do teatru ile razy dawać będą rzeczy wydarte molom i szczurom.

Laury wieczora zbierał głównie p. *Benda* w roli rotmistrza Walerego oddanéj bez zarzutu, obok niego cieszyli się największym powodzeniem p. *Hoffman* (Dorymena), nieoceniona w rolach komicznych, p. *Ekerowa* (Plotkiewiczowa), p. *Kwiecińska* (Magdusia) która w rolach suberetek zjednywa sobie prawie zawsze zupełne uznanie, daléj zaś pełen elastycznéj komiki p. *Eker* (Recepta) i dwóch poczynających, zbyt rzadko widywanych członków naszéj sceny p. *Konarski* (Fusceptowicz), p. *Siedlecki* (Ramota).

P. *Wolski* (Gdyralski) znajdował się w swoim żywiole, grał bowiem kontuszowego starostę; gdyby nie bezustanne dryganie i kiwanie się z boku na bok, gdyby nie wiecznie tenże sam akcent, to nie mielibyśmy mu nic do zarzucenia.

P. *Rapacki* (Rejent Karol) dał nam doskonałego świętoszka, jedno tylko zarzucić mu możemy, że jego Karol nie różnił się od Soloduchy i innych świętoszków, których już nam podziwiać kazał. Był to tenże sam typ z innym nazwiskiem, odegrany dobrze ale tak samo jak inne, a przecież stać p. R. aby przy małéj nawet pracy podobne w zasadzie postacie w różny uplastycznił sposób.

Poprzedniego wieczora widzieliśmy trzy jednoaktowe komedyjki. Pierwsza z nich: „W gabinecie Jego Ekscellencji“ zyskała tylko powodzenie dzięki znakomicie wykonturowanéj i wycieniowanéj grze p. *Rychtera* (Dyetaryusz Knabe). Inaczéj bowiem ten specyficznie niemiecki materjał, obrobiony z niemiecką flegmą, mógłby tylko zainteresować ludzi obznajmionych z tego rodzaju niemieckiemi stosunkami. Francuz zrobiłby z tego materjału bardzo przyjemną i dowcipną farsę, Niemiec zaś biorący każdą bagatelę na serjo, nie zna téj przyjemnéj eleganckiéj lekkości i dla tego tworzy albo zakrawającą na dramat poważną komedją, lub też fabrykuje tarzającą się w lokalnym błocie „Possę“.

Dwie drugie komedyjki z francuskiego „Przysługa“ i „Z małéj chmury wielki deszcz“ p. *Leona Gozlau* miłe wywołały efekta. Druga z nich odegrana z wybornym humorem i werwą przez p. *Parżnicką* (Aniela) i p. *Bendę* (de Courberixe) odwzorowała nam wiernie owe znane sceny małżeńskie zaczynające się drobnemi wyrzutami i przechodzące w wielką burzę a kończące się serdecznym uściskiem miłości i zgody.

O...le.

---

a. δ. **Kronika.** — *Nowy rok niezawodnie przyjdzie na świat — płonne wróżby. — Było lepiéj. — Kronikarskie życzenia dla „Kaliny.“ — Nic o „Djable.“ — Bank, planty, chodniki i towarzystwa uczone. — Pomieszanie języków. — Nadzieja lepszego jutra dla „Kaliny.“*

Doprawdy, jest coś majestatycznego w narodzinach każdego nowego roku. Wszyscy oczekują go — jedni z bojaźnią, drugim drży serce z niecierpliwości. Zdawałoby się, że grudniowa atmosfera działa febrycznie na ludzi, albo, że pierwszego stycznia każdemu dostanie się pewna marszruta na rok następny życia; że już ani zmartwień, ani kłopotów rok nowy ze sobą nie przyniesie, a przynajmniéj że.... że.... będzie lepiéj. — Znam takich, którzy już żyją lat sporo, i już ośmdziesiąt kilka takich narodzin naliczyli, — a gdym ich pytał, czy też to sprawdza się chociaż dziesiąta część nadziei o lepszem jutrze? — bardzo podejrzanie kiwali głową! Zresztą ojcowie lub dziadowie wasi Szanowni Czytelnicy, albo babki wasze może pamiętają dobrze jakie wczoraj, niechaj wam o nim powiedzą. A więc nie cieszmy się. Nic dla nas wesołego w obfitym rożku obfitości niesprawiedliwéj fortuny. Jutro, może gorsze od wczoraj.

O melancholjo kronikarska! zkąd bierzesz te czarne myśli, żeś mi zepsuła najpiękniejszy zaczątek moich ploteczek i skandalików, które w takim porządku miałem przedstawić do wiadomości publicznéj? Zkąd ta troska o jutro, którego jeszcze nie ma? Kto wie fatalisto kronikarzu, czy twojéj ukochanéj „*Kalinie*“ nie wysypie się właśnie z owego rożka fortuny z jakie kilka tysięcy prenumeratorów i prenumeratorek. A wtenczas? Wtenczas... Żałowałbym z duszy serca żem tak skalomniował jutro... i ***obiecałbym*** solenną poprawę.

Wierzcie mi bowiem Szanowni Czytelnicy, że dla tych kilku tysięcy czytających, gotów jestem na wielkie ofiary! Przyrzekłbym nawet oszczędzać moich bliźnich, choćbym w nich widział niezbyt uprzejmych urzędników pewnego banku galic*ji*skiego... Ach wtenczas! anibym pomyślał zapewne, że w czasie najmniejszéj niepogody, potrzeba poetycznéj gondoli aby się przeprawić przez planty, takie tam berdyczowskie błotko, — nawet darowałbym i chodnikom krakowskim, po których trzeba nogi łamać — a już anibym pisnął o poczciwych naszych właścicielach kamienic, którzy o ósméj zamykają bramy, aby... nie oświecać schodów! — O święta oszczędności! czemuż ty nie jesteś cnotą całego narodu.

Otóż idąc tak daléj, ręczę, że zdegradowałbym się na bardzo porządnego człowieka i żyłbym uczciwie, pisząc żywoty sławnych naszych dyplomatów i ludzi nieskazitelnéj uczoności. Tutaj w niemałym byłbym kłopocie, czy od Akademii, czy od Towarzystwa naukowego zacząć ów porządek alfabetyczny, a ręczę, że i Towarzystwo Oświaty miałoby także swoje pretensje, aby jego członków przekazać potomności.

Nie powodując się atoli jak tylko czystą sprawiedliwością, na pierwszym planie naszych znakomitości, postawiłbym kapłanów pióra i uczonych gramatyków „*Kraju*,“ w którym mieszanina wyrazów zapowiada co najmniéj wieżę Babel wzniesioną na cześć ludzi *demo-bioro-arysto-kratyczno-filozoficzno-powszechno-wolno-religijno-niejakich pojęć.*

Wszystko to gotów jestem uczynić dla miłości kilku tysięcy prenumeratorów, których przy zbliżającym się Nowym roku życzę „*Kalinie*“ specjalnie — a w zamian od niéj, wam piękne czytelniczki, niosę w ofierze nadzieję, że „Kalina 1870 jeszcze przystroi się w nowe szaty — na wzór *Tygodnika illustrowanego* i *Kłosów!* — Od was piękne panie jéj przyszłość zawisła!... składam więc jéj losy w wasze ręce — spokojny o jutro.

*** W Krakowie, z Nowym rokiem wychodzić będzie *Kurjer Krakowski* pod redakcją p. *Władysława Sabowskiego.* Zasłużone imię w literaturze naszéj Redaktora i uznane zdolności na polu dziennikarstwa są dostateczną rękojmią dla publiczności, że Kurjer odpowie warunkom i zobowiązaniom zapowiedzianym w prospekcie.

PRZEGLĄD KRYTYCZNY.

Piśmiennictwo nasze coraz to więcéj upada. Po za prassą perjodyczną nie ukazują się żadne godniejsze uwagi dzieła. Literatura naukowa ugoruje najzupełniéj, a ukazujące się tu i owdzie utwory belletrystyczne są bezprzykładnie blade, bez ducha i idei, li tylko na obstalunek rzemieślniczo napisane. Wszystko lepsze pochłaniają czasopisma, których liczba do tyla wzrosła i ciągle wzrasta że żadne prawie samoistnie działać nie jest w stanie. Prenumerata nie pokrywa kosztów wydawnictwa ztąd zawiści, kłótnie i polemika grubijańska nie o przekonania, lecz prowadzona w celu zdyskredytowania współzawodnika i odjęcia mu choćby kilkunastu klientów, ztąd owa zależność od interesowanych *Mecenasów*, wyradzająca niestety zbyt często potwarze i brudne zarzuty.

Upada zatem i wyczerpuje swoje siły w domowéj wojnie dziennikarstwo, a społeczeństwo pozbawiene idealnéj strawy, smutnie tylko w przyszłość swoją spoglądać może.

Nie tu jest miejsce zastanawiać się jaką postać przybierze polityka przy obecnym kierunku dziennikarstwa, którego zadaniem jest dawanie impulsu i rozciąganie kontrolli nad sprawami publicznemi, nie tu również należy roztrząsać sprawy wychowania począwszy od szkół ludowych aż do uniwersytetu. Zapisawszy więc sam fakt odrętwienia literackiego we wszystkich jego gałęziach, zwracamy się do plagi poetycznéj która młodzież naszą polipowemi otoczyła zwojami.

Poeci nasi to jakiś mityczny smok stugłowy, utnij jedną a sto nowych wyrasta. Pojmujemy takiego poetę jak *El...y* i dwóch lub trzech w miernéj za nim stojących odległości, lecz zkąd powstaje i dokąd dąży ta nieprzeliczona drużyna smętnych popełniaczy rymów? Próżniactwo, nieprzezwyciężony wstręt do gramatyki, i zupełna impotencja zdrowéj myśli, a w końcu zaniedbane wychowanie domowe jest matką tych nieszczęśliwych samochodów przy blasku księżyca, leżących taborem nad modnym ruczajem, lub u pantofelka flegmatycznie wymarzonéj bogini. Żywicielem ich ma być publiczność którą trują—kończy się jednak zwykle inaczéj...

Żeby to była przynajmniéj choć odrobina świadomości co się właściwie ma pisać, żeby tam znaleść atom zapału lub ironji, choćby intuitywne przeczucie poetycznego piękna, okruch najzwyklejszéj myśli, niestety! Nic, jak tylko luźne pomieszanie wyrazów składających się mniéj lub więcéj składnie do rymu. Biedni młodzi starcy, gdzież wasz ogień? Strawił się w żądzy tego czego sami nie wiecie, zawarł w ignorancji!

Napróżno tępi swój miecz krytyka, napróżno przemawia El...y do swoich niby naśladowców, tutaj obojętność nakładców i wpływ wychowania jedynie tylko zaradzić mogą.

Z pomiędzy próbek poetycznych na które odpowiedzieliśmy powyższemi słowami, wyróżniają się korzystnie tylko co z pod prassy wyszłe „Poezje“ *Władysława Ordona.* Nie powiemy aby młody autor zadowolnił nasze wymagania, lecz talentu pisarskiego odmówić mu nie można. Styl piękny, język czysty i wielka łatwość wierszowania, wyznać jednak musimy że poezji nie wiele. Uczucia dość, lecz chodzi ono samopas i nie uformowało się jeszcze w konkretną całość.

Pracować wiele, czytać, myśleć porządnie, odpychać senne widziadła i palić wszystko to co one podyktowały a jesteśmy przekonani, że miłe wierszyki p. *Ordona* przemienią się po pewnym przeciągu czasu na rzeczywistą poezją.

Z leżącego przed nami zbiorku najwięcéj się nam podobały: „Dwie pieśni“ i „Spóźniony nekrolog“.

„Zbiór zabaw, gier i rozrywek dla młodzieży“ p. *Karola Kozłowskiego* jest pożyteczną bardzo książką świeżo wyszłą w Poznaniu u Żupańskiego, którą ze wszech miar zalecamy. Obok jasno i zwięźle opisanych różnych zabaw na dworze i w salonie, znajdują się tam też zadania i sztuczki rachunkowe, zagadki i dowcipne zapytania mogące korzystnie wpływać na młodą imaginacją i rozwój umysłu. *O...le.*

Do dzisiejszego Numeru dołącza się prospekta na „Kurjera Krakowskiego“ i „Kłosy.“

Kierujący Redakcją Aleksander Dawidowicz.
Odpowiedzialny redaktor i wydawca *St. Gralichowski.*

W drukarni „Czasu“ W. Kirchmayera. Rządzca Drukarni *Józef Łakociński.*

List zwrotny.

Rysunki Artura Grotgera z wystawy paryzkiéj 1867 roku.



POŻOGA.

KALINA

TYGODNIK ILLUSTROWANY.

Ciesząc się łaskawém uznaniem i względami Szanownych Czytelników i Czytelniczek, nie uważamy za właściwe pisać sobie modnéj dzisiaj reklamy.

Pismo nasze wychodzić będzie pod tym samym co dotąd kierownictwem, wzbogacone nowemi siłami.

Zapewniliśmy bowiem sobie stałe współpracownictwo ludzi uznanych zasług na polu piśmiennictwa naszego, jak: pp. *Władysława Sabowskiego (Wołody Skiba)*, *W. L. Anczyca*, *Jana Stożka (El.....y)* i innych.

Dział krytyczny i estetyczny powiększony nowym działem przeglądu literatury zagraniecznéj, prowadzić będzie jak dotąd główny nasz współpracownik p. *O..le* (Dr. *W. M. Olendzki)*.

Nadto pilnie śledzić będziemy za ruchem kwestji stowarzyszeń kobiet w Anglii i Niemczech—podając treść dzieł lub rozpraw kwestją tę traktujących.

O ile miejsce na to pozwoli, dawać będziemy kronikę paryzką i korespondencje zagraniczne.

Nie przepomniawszy również i o praktycznéj stronie naszego pisma, podawać będziemy **mody i wzory najnowszych** fasonów **paryzkich** każdego pierwszego tygodnia miesiąca. Na czas zaś karnawałowy dawać będziemy **podwójny** arkusz **mód** — jeden strojów balowych, drugi toalety salonowéj. Słowem, staraniem naszém będzie podnieść wszystkie działy naszego pisma, ufni, że łaskawi Czytelnicy pracę naszą popierać zechcą.

Redakcja.

Prenumerata miejscowa „Kaliny“ wynosi rocznie 6 złr. — półrocznie 3 złr. — ćwierćrocznie 1 złr. 50 c. w. a.

Z przesyłką pocztową: rocznie: 7 złr. 20 c. — półrocznie 3 złr. 60 c. — ćwierćrocznie 1 złr. 80 c. w a.

Prenumerata zagraniczna: bez **mód** rocznie 8 złr 30 c. w. a.

Mody i **kroje** rocznie 3 złr. 70 c. — półrocznie 1 złr. 90 c. — ćwierćrocznie 1 złr. w. a.

W Krakowie prenumerować można w biurze Redakcyi: ul. Wiślna, albo w księgarni J. Czecha lub F. Baumgardtena.

We **Lwowie** można prenumerować i odbierać w księgarni Seyfart et Czajkowski przy głównym rynku.

W **Tarnowie** w księgarni M. Fenichla.

W **Poznaniu** w księgarni Leitgebera Hôtel du Nord.

Wszelką zamiejscową prenumeratę z Galicyi **prócz miasta Lwowa**, należy przesyłać wprost do Redakcji.

Imie i nazwisko ……………………………………

Ostatnia poczta ……………………………………

Miejsce zamieszkania ……………………………………

Posełam prenumeratę na tygodnik illustrowany „Kalinę“ w ilości Złr. ……… centów ……… w. a.

Na mody „ ……… „ ……… „



POLOWANIE Z CHARTAMI. (Rysunek Kossaka).



L A T O. — (Rysunek F. Kostrzewskiego).

Do

Administracji „KALINY"

wewnątrz pieniądze prenumeracyjne

w ilości złr.............. c...........

franco.

w Krakowie.